ROK IX. MARZEC 1928. Nr. 3.

Wyleć ptakiem z swego gniazda,
Miłać będzie taka jazda.
W. POL.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY
POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



KOBIETA WIEJSKA Z POD CIESZYNA.

Prof. PIOTR GALAS (Bochnia).

Zbierajmy słownictwo ludowe.

Delegaci Kół Krajoznawczych Młodzieży mieli możność ubiegłego roku na Zjeździe w Krakowie w czasie Zielonych Świąt wysłuchać ciekawego wykładu K. Nitscha, prof. Uniwers. Jagiell., na temat zbierania słownictwa ludowego i jego wartości dla nauki. Jasne i zajmujące przedstawienie sprawy przez najlepszego znawcę mowy ludu polskiego osiągnęło zamierzony cel. Wywołało mianowicie wśród zebranych żywe zainteresowanie, któremu młodzież dała wyraz, prosząc po wykładzie o wyjaśnienie różnych kwestyj językowych. A kiedy prof. Nitsch zaczął rozdawać kwestjonarjusze, młodzież garnęła się po nie z zapałem i widoczną ochotą do pracy.

Czy to jednak nie był słomiany zapał? Czy nie zapomnieliście wkrótce o swem postanowieniu współpracy? Czy przyłożyliście cegiełkę do nowego gmachu nauki, którą nasz znakomity uczony zaczyna stawiać w odrodzonej Ojczyźnie, gromadząc systematycznie słownictwo ludowe z całej Polski. W bogatszych państwach zachodnich rząd znacznemi funduszami ułatwia tę pracę; u nas ludzie dobrej woli muszą uczonym pospieszyć z pomocą i dla chwały nauki polskiej umożliwić im zebranie słownictwa ludowego. Ono bowiem rzuca nieraz snop jasnego światła na psychikę naszego ludu, przyczynia się do zbadania wpływu obcych języków na język polski, ułatwia poznanie różnorodnych wyrażeń na ten sam przedmiot, pozwala nakreślić obszar, na którym te wyrażenia występują itd.

Ucząc się przyrody, dowiadujemy się o rozprzestrzenieniu i zasięgu niektórych drzew i roślin, które tylko w pewnych obszarach kraju róść mogą, w innych natomiast z różnych powodów się nie udają. Są też takie rośliny, które niegdyś, w innych warunkach, żyły na wielkich obszarach, a dziś przestrzeń przez nie zajmowana znacznie się ścieśniła. Nie inaczej jest z zasięgiem zwierząt, chociaż te, jako mogące się swobodnie poruszać, mniej są związane z pewnem tylko miejscem. Również wśród nich spotykamy teraz jeszcze okazy gatunków, które żyły niegdyś w innym klimacie i odmiennych warunkach.

Zupełnie podobnie ma się rzecz z zasięgiem i życiem wyrazów. Jedne z nich spotyka się na całym niemal obszarze Polski, choćby w zmienionym nieco wyglądzie, inne zajmują mniejszą, ale i tak znaczną przestrzeń. Lecz są i takie, co zaledwie w obrębie powiatu lub gminy wiodą swój skromny żywot. Bardzo często są to resztki języka po dawnych epokach. Niegdyś powszechnie używane i znane wszystkim, dziś prawie całkiem zapomniane, po wiekach rozkwitu i sławy dokonują swego żywota najczęściej wśród zapadłych wiosek i kładą się do grobu razem z tymi, co wierni tradycji przodków do końca swego życia ich używali.

Przyczyńmy się do utrwalenia na piśmie wyrazów i jeśli nie możemy przedłużyć im życia, to przynajmniej wystawmy im pomnik, świadczący o tem, gdzie i kiedy żyły. Uczynimy to najłatwiej, odpowiadając na pytania kwestjonarjuszy prof. Nitscha.

Stałych informatorów ma obecnie prof. Nitsch zaledwie koło 50 i to nie ze wszystkich części Polski. Istnieją duże połacie Rzeczypospo-

litej, z których nie posiada żadnych informacyj. A przecież wszyscy wiedzą o pracy gwaroznawczej prof. Nitscha zarówno z jego dzieł naukowych jak i z odczytów, wygłaszanych przy różnych sposobnościach np. na kursach regjonalnych lub nauczycielskich. Nie żałuje też czasu ani trudu na odczyty w Kołach krajoznawczych; taki zaszczyt spotkał Koło w Tomaszowie Mazowieckim i w Bochni.

Gdyby na pięćdziesiąt parę Kół krajoznawczych w Polsce znalazło się choćby po trzech członków chętnych do pracy gwaroznawczej, przybyłoby około 150 nowych współpracowników, a pomoc taka byłaby bardzo cenna. Chodzi tylko o wynalezienie tych chętnych. Zwracam się przedewszystkiem do uczniów pochodzących ze wsi, bo oni są najlepszymi informatorami, ponieważ znają dobrze gwarę danej okolicy i przeważnie posługują się nią w domu rodzicielskim na świętach lub w czasie wakacyj. Dobrzeby też było, żeby ci współpracownicy nie pochodzili z jednej okolicy, bo wtedy mogliby objąć większy obszar i dać pełniejszy obraz ludowego języka.

Zachęcić do tej pracy, a może i wybrać odpowiednich uczniów będzie musiał opiekun Koła. Jeśli będzie nim nauczyciel języka polskiego, udzieli uczniom wszelkich potrzebnych wskazówek. Gdyby jednak opiekun Koła nie interesował się zupełnie zagadnieniami gwarowemi, w takim wypadku zwróci się o pomoc do kolegi polonisty, a ten zarówno radą będzie uczniom służył, jak też przeglądnie ich odpowiedzi na kwestjonarjusz.

Gdym przed dwoma laty powziął myśl wciągnięcia uczniów do tej pracy, wybrałem około 10 chłopców z klasy piątej gimn., pochodzących z różnych stron powiatu bocheńskiego. Następnie wyjaśniłem im cel takiej pracy i przeszedłem z nimi kilka pytań kwestjonarjusza, z czego się sami przekonali, że w niezbyt odległych okolicach niektóre wyrazy brzmią nieco inaczej lub też całkiem nie są używane. Szczególnie silny nacisk kładłem na to, aby odpowiadali na każde pytanie i żeby ściśle według wymowy oddawali brzmienie wyrazów, choćby taka pisownia wydawała się im dziwna. Stosować się tu musi pisownię fonetyczną, to znaczy pisać wyrazy tak, jak one brzmią, a nie etymologiczną, która nas powszechnie obowiązuje. Apelowałem też do uczniów, aby pisali wyraźnie i starannie, bo, pomijając inne względy, współpraca z profesorem uniwersytetu to dla nich zaszczyt niemały. Wszystkie wypracowania przeglądałem, a w razie jakichś wątpliwości omawiałem je z każdym uczniem zosobna. Nawet po przepisaniu na czysto nie zawadzi przeczytać jeszcze taki elaborat, bo uczeń mimowoli może coś przeoczyć lub mylnie odpisać z bruljonu.

Jeśli rzecz ma być dobrze zrobiona, wymaga to pewnego trudu zarówno ze strony ucznia, jak i opiekuna Koła. Wielką pomocą dla niego może być znajomość tej samej gwary, w której uczniowie dają odpowiedzi, ale ułatwiłoby mu również i to kontrolę pracy chłopców, gdyby znał jakąkolwiek inną gwarę.

Nie należy uczniów naglić do pośpiechu, bo praca ta nie jest taka łatwa, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Dobrze jest dawać im kwestjonarjusze kolejno w miarę ich opracowania, bo dają dokładniejsze i lepsze odpowiedzi. Stanowczo lepiej, żeby uczeń poświęcił nawet tydzień lub więcej jeszcze czasu jednemu kwestjonarjuszowi — nieraz przyj-

dzie mu w wątpliwej kwestji zapytać się rodziców lub znajomych — niż żeby się miał spieszyć i dać odpowiedzi niedokładne. Uczeń bowiem nie zawsze ma czas i ochotę do takiej pracy. To też należy mu pomóc, zachęcić go, uznać trudności, na które natrafia, a z pewnością otrzymamy dobre wyniki. Praca idzie mu gładko, gdy się już upora z początkowemi trudnościami, a zwłaszcza, gdy sobie uświadomi, że on sam się też uczy wiele, odpowiadając na te różnorodne pytania. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przemyślenie tych kwestyj, na które ma udzielić odpowiedzi, rozszerza horyzont jego myśli i uczy patrzeć na język, jako na żywy twór ducha ludzkiego.

Kwestjonarjusze można otrzymać w Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków, Sławkowska 17, i w tym celu wystarczy napisać zwykłą pocztówkę.

Zeszyt ten wypełnili uczniowie Seminarjum Nauczycielskiego w Bobrku koło Cieszyna.

SIKORA FRANCISZEK, III kurs Sem. Naucz.

Z życia górali istebniańskich.

W połowie wiosny wypędzają górale-gazdowie swoje trzody na wielkie pastwiska, leżące w górach i tam je mieszają. Trzeba tu dodać, że przeciętny gazda nie posiada więcej owiec jak 30, a wszystkie tu przypędzone przekraczają nieraz liczbę 300. Już sama droga pędzenia owiec na szałas (jest to miejsce, na którem znajdują się owce przez całe lato), jest bardzo malownicza. Przed owcami kroczy majestatycznie gązda, odzywający się czasem tylko gwizdnięciem lub nawoływaniem. Z tyłu i z boku popędzają tę gromadę zwierząt chłopcy, krzycząc przytem i śpiewając. Lecz nietylko można tu słyszeć głosy ludzi. W lesie, gdzieś w szczelinach skał, toczy się z szumem i hukiem potok górski, z których niejeden daje początek rzece-królowej. Na skale lub w dziupli starej jodły „zahuka“ puhacz, to „straszydło nocne“, jak mówią górale; gdzieś dalej w gęstwinie leśnej, daje się słyszeć pisk wiewiórki, czy zająca, nad którym w straszliwy sposób znęca się jastrząb — prawdziwy rycerz lasu. A wśród tych krzyków, gwizdań i nawoływań, najwięcej da się słyszeć beczenie owiec, które oderwane z woli swoich gazdów od swego potomstwa, pozostającego jeszcze w domu, nie mogą zapomnieć o niem. Trzeba pamiętać, że młode jagnięta nigdy nie idą ze staremi na szałas, boby nie wytrzymały wielkich mrozów i słot, jakie jeszcze trwają w tym czasie w górach.

Kiedy już wszyscy gazdowie przypędzili owce na miejsce, zwane przez górali „sałaszem“, rozpoczyna się ważna uroczystość, połączona czasem z zabobonami i przesądami, zwana „mieszaniem“. Na przodzie owiec kroczy już teraz nie żaden tam gazda, lecz wybrany właśnie przez nich owczarz, któremu jest powierzona opieka nad owcami przez całe lato. Ubrany jest w prawdziwy strój góralski. Na głowie ma kapelusz o bardzo wielkiej strzesze, chroniący go nieraz od deszczu, a zastępujący mu parasolkę. Na siebie wdziewa koszulę z płótna lnianego własnego wy-

robu, następnie spodnie wyrabiane z wełny owczej, ozdobione czerwonem wyszyciem, które noszą nazwę „nogawic“. Na nogi wdziewa t. zw. „kopyca“ (rodzaj grubych skarpetek, tylko nierobionych na drutach, lecz zeszywanych z kawałków sukna), które obwija długiemi sznurami, wyrabianemi także w domu z sierści kozy lub wełny owcy, zwanemi „nodkąciami“. Końcami tych sznurów przypina na nogi t. zw. „kyrpce“. Na koszulę obleka teraz kamizelkę, zwaną „bruclikiem“



Góral z Istebnej.



Chłopak góralski z Istebnej

zdobioną także wyszyciami i dużemi drobnemi guzikami. Dopiero teraz na „bruclik“ wkłada „gunię“, coś w rodzaju płaszcza, zdobioną na krajach kolorowemi sznurami. W ręku trzyma nieodstępny toporek, t. zw. „obuszek“, a za nim, jako za swym panem, kroczy nieodstępny jego towarzysz całego latą, mały, kudłaty piesek-burek. Gwiżdżąc, posuwa się dookoła małej jodły kilka razy, a za nim idą w gromadzie, bardzo ściśnięte ze wszystkich stron przez chłopców, owce, które tak beczą, że zagłuszają rozmowę ludzi. Scena ta robi na obserwatora wielkie wrażenie. Kiedy już wszystkie owce są pomieszane, t. zn. gdy już nie potrafią rozpoznać się między sobą (bo trzeba pamiętać, że gdyby owiec nie mieszano, to owczarz nie potrafiłby utrzymać ich w jednej gromadzie, bo rozbiegłyby się mu w pewnych gromadkach na wszystkie strony, natomiast każdy gazda ma swoje owce, poznaczone przez wystrzyganie im w uszach różnych znaków lub wprawianie drutu), wtedy wpędzają je do pewnego ogrodzenia, t. zw. „koszoru“. Przedtem jednak w bramie, prowadzącej do „koszoru“, rozpalają ogień i przez ten ogień wpędzają owce. Ma się rozumieć, że ogień taki nie duży; wystarcza czasem, gdy się tylko dym pokaże. Zwyczaj ten jest



Strój górali śląskich.

zwyczajnym zabobonem. Praktykują go w tym celu, aby owce uchronić od różnych niebezpieczeństw, np. od ukąszenia przez węża lub zaginięcia gdzieś w lesie itp. „Koszor“ jest miejscem ogrodzonem charakterystycznym płotem. Ma kształt prostokąta, który znowu podzielony jest na dwie nierówne części takim samym płotem, nazywającym się „s t r ą g ą“. W „strądze“ znajduje się kilka otworów (najwięcej 4); przy każdym z nich siadają: „o w c z o r“ i gazdowie. Przed dojeniem wpędzają owce do części mniejszej koszaru. Tam teraz napędzają je dwaj chłopcy ku otworom, przy których już czekają na nie gazdowie wraz z owczarzem, aby je uchwycić i doić. Dojenie odbywa się rano, w południe i wieczór, nie z boku, jak np. dojenie krów, lecz z tyłu. Mleko uchodzi do naczyń drewnianych, t. zw. „gielat“. Kiedy już wszystkie owce są podojone, idą ci, którzy doili, z mlekiem do szopy, t. zw. „k o l i b y“. W „kolibie“ takiej znajdują się wszystkie potrzebne naczynia. Kilka małych naczyń drewnianych, bardzo ładnie rzeźbionych, zwanych „c z e r p a k a m i“, zastępuje garnki. Wielki duży kocioł miedziany, w którym gotują mleko, a raczej już tylko „m u l k ę“, zwaną przez górali istebniańskich „z i ę c i c ą“, a przez innych „ż ę t y c ą“. Wielkie, także drewniane naczynie, zwane „p u t y r ą“ służy do „k l a g a n i a“, t. j. zamiany mleka w ser. „Klaganie“ odbywa się w sposób bardzo prosty. Do mleka wlewa się trochę cieczy, zwanej „klagiem“. (Klag powstaje, gdy do niegotowanej „ziętycy“ dają kawałek cielęcego żołądka) i tak pozostawia się przez kilka minut. Za ten czas mleko kwaśnieje i powstaje ser, który się wiąże do chustki, zwanej „s z a t ą“ i wiesza na haku, ażeby z niego ociekła t. zw. „k a p o ł k a“, którą się znowu gotuje na wyżej wspomnianą „zięcicę“.

Oprócz tych narzędzi znajduje się jeszcze w kolibie długa na kilka metrów „t r ą b a s a ł a s k a“, na której owczarz wygrywa przepiękne melodje, a której głos słychać na kilka kilometrów. Głos jej służył jeszcze dawniej do wołania o ratunek, kiedy np. rabusie z pobliskich gór napadli na szałas, rabując owce i ser. Wtenczas owczarz wygrywał na niej różne melodje, które górale z pobliskich wiosek zaraz rozpoznawali i śpieszyli z widłami lub cepami na ratunek. W dniu pierwszym (kiedy się owce miesza) ser nie jest własnością żadnego, lecz bywa dzielony na drobne kawałki, które „s a ł a s z n i k“ (jest to gazda posiadający najwięcej owiec, a zarazem zarządca całego szałasu),

rozdaje między gazdów lub też gości, przybyłych tutaj z ciekawości. Jest taki zwyczaj, że chociażby przyszła cała wioska, to każdy musi coś otrzymać, choćby „ros do gymby“. Zaraz po dniu, w którym się owce mieszało, wyznacza „sałasznik“ dnie, w których poszczególni gazdowie przychodzą sobie po ser, jako t. zw. „b a c o w i e“. Mówią górale, że wtedy, kiedy jeszcze owce beczą za swemi młodemi, posiadają najwięcej mleka. Trwa to przez kilka dni i właśnie w tym czasie zbiera sobie ser zarządca szałasu lub też w podarunku większa osobistość wioski, np. nadleśniczy, proboszcz lub inny. Owczarz z owcami przebywa w szałasie do jesieni, a kiedy już nastają silniejsze mrozy i deszcze, przychodzą sobie górale po owce i zabierają je do swoich domów.

W dawniejszych czasach, kiedy jeszcze było dużo pastwisk, szałasy były duże i przynosiły wielkie zyski. Do takich szałasów należały także krowy i kozy, nad któremi znowu miały opiekę młode góralki, ubrane w przepiękne stroje, o których już częściowo zapominają, ubierając się w stroje modniejsze. O góralu możemy powiedzieć, że wszystkie części swojego ubrania ma własnego wyrobu, jedynie „bruclik“ jest z materji czarnej lub czerwonej kupionej. Pod tym względem inaczej przedstawia się strój góralki. Do części ubrania własnego wyrobu możemy zaliczyć: koszulę z płótna lnianego i obuwie, na które składają się białe, wełniane pończochy, następnie „k o p y t k a“, coś w rodzaju pończoch tylko bardzo krótkich, obramionych na wierzchu czerwonem włóknem. Na te „kopytka“ wdziewa k i e r p c e, przypinając je ładnemi, czerwonemi lub niebieskiemi sznurkami. Części kupione składają się z chustki jedwabnej, czepca, fartucha i fartuszka. Trzeba rozróżnić w tym wypadku, co to jest fartuch i fartuszek. Fartuch przypina na białą „s p o d n i c ę“ z tyłu. Jest on z czarnej „kartonowej“ materji, mocno wykrochmalonej, bardzo gęsto i drobno sfałdowanej. Zaś fartuszek jest, ze zwykłej materji, różnej barwy. Przypinają go z przodu. Co do fartucha, trzeba zaznaczyć, że bywa tylko używany przez góralki w Istebnej i w najbliższych wioskach. Do osobliwości ubrania należy jeszcze t. zw. „kabotek“, z misternej tkaniny, czasem pół-jedwabnej (jest ubranie odświętne), lub ze zwykłego „kartonu“ (do pracy), którego kołnierzyk, t. zw. „o b u j e k“ i końce rękawów, t. zw. „l y m i e c z k i“ są przepięknie wyszywane czerwonemi niciami, zwanemi „h a r a s e m“. W zimie na ten ubiór wdziewają jeszcze kożuch (co i mężczyźni czynią), z owczej skóry, ładnie wyprawionej. Oprócz



Góralka z Istebnej.

tych części, ubierają jeszcze dużą białą płachtę, mocno nakrochmaloną, noszącą nazwę „obrusa“. Zamiast pończoch mają t. zw. „nogawiczki“. Są to właściwie pończochy barwy czerwonej, długie na 2—3 metry, które na nodze bardzo gęsto i drobno fałdują.

ALOJZY BĄCZEK, kurs V Sem. Naucz. w Bobrku.

Wierzenia, zwyczaje i praktyki ludu śląskiego.

Gdy niewiasta[1]) idzie do ślubu, ma wziąć z sobą do paczek mięsa i kołaczy, a przed kościołem rozdać dziadom, wtedy jej nigdy w życiu nie zabraknie pożywienia.

Gdy idzie niewiasta do kościoła, bierze w zanadrze kawałek cukru, a po powrocie z kościoła daje go do herbaty lub kawy, przeznaczonej dla nowożeńca. Będzie ją zawsze kochał.

Jeżeli któraś panna chce już wyjść zamąż, powinna się pośpieszyć za niewiastą, gdy idzie na ofiarę koło ołtarza, a niewiasta za ołtarzem pociągnąć powinna pannę za sobą, wtedy napewno do roku wyjdzie zamąż.

Gdy przyklękują przed ołtarzem, wtedy ten, który klęka drugi, trąca klęczącego. Jeżeli ten klęczący się usunął, wtedy także w przyszłem życiu ustąpi przy kłótni.

Gdy idą z kościoła, kto pierwszy z nich przemówi, pierwszy także po kłótni poda rękę do zgody.

Niewieście nie wolno opuszczać miejsca z poza stołu, boby męża opuściła.

Pieniędzy na wszystkie potrzeby podczas ślubu powinien dać niewieście nowożeniec.

* * *

Przy ubieraniu dziecka do chrztu należy najpierw prawą rękę ubrać, a potem dopiero lewą, gdyż jeżeliby się odwrotnie postąpiło, dziecko byłoby mańkutem.

Czem bardziej dziecko podczas chrztu płacze, tem piękniejszy będzie miało głos i tem dłużej będzie żyło.

Gdy matka chrzestna idzie na ofiarę koło ołtarza ze świeczką, powinna ją w dłoni opuszczać aż po płomień, aby ta dziewczynka miała długie włosy.

Po przyjściu do domu zaruszać wiązaniem i zaraz je rozwiązać, aby się szybko dziecku język poruszył, rozwiązał.

Nie wolno siadać na kołysce, bo się w ten sposób zabiera sen dziecku. Jeżeli tak ktoś postąpił, powinien przynajmniej nitkę ze swego ubrania zostawić na kołysce.

Jeżeli dziecko dość długo nie zaczyna mówić, wtedy ojciec lub matka powinna iść do komunji, następnie z nikim po drodze ani słówka nie mówiąc, przyjść do domu i chuchnąć dziecku do ust — odzyska mowę.

---

[1]) młoda panna.

Gdy dziecko jest wystraszone, wtedy matka dziecka daje gotować wodę w garnku. Gdy woda wrze, cofa ją, a po chwili znowu ją daje gotować. Tak postępuje trzy razy. Potem okrążywszy tym garnkiem z wodą trzy razy naokoło kołyskę (z dołu w górę), wlewa ją na miednicę ustawioną pod kołyską i ustawia w tej wodzie garnek do góry dnem. Gdy garnek wpije wodę z miednicy, wtedy dziecko już się pozbędzie strachu.

Przed ukończonym rokiem życia nie wolno dziecku strzyc włosów, boby je spotkało nieszczęście.

Jeżeli dziecku się pozwala przed rokiem patrzyć do lustra, wtedy wszystko „wydziwo“ (niczego się przed niem nie ukryje, niczego też, co się w domu dzieje, w tajemnicy nie utrzyma).

Niekiedy dziecko narodzi się już z dwoma przedniemi zębami. To jest „mora“. Należy temu dziecku dać zaraz te zęby wyrwać. Najwięcej trafia się dziewczynkom, chłopcom rzadko. Gdy taka „mora“ jest starsza, chodzi w nocy krew z ludzi ssać, bo potrafi się w bądźco zamienić.

„Raz też siedział jedyn krawiec dość długo w nocy, bo mioł, jako przed świyntami roboty sznyt (dużo). Naroz dziwo się, a tu przez szpare w oknie przesmykuje sie ściebło ze słómy reżnej. Krawiec porwoł nożyce i przecion tóm słóme. Na drugi dziyń sie dziwo, a tu leży w izbie pół, a na polu też pół baby“.

Najlepiej, gdy tąk człowieka coś dusi, powiedzieć: „Przidź rano, dóm ci chleba z masłym“. A gdy rano przyjdzie (a przyjdzie napewno), to ją miotłą zgrzmocić.

Nim matka idzie „na wywód“ z dzieckiem, nie powinna opuszczać domu, bo djabeł w czasie jej nieobecności podrzuci jej „podciepka“, a dziecko sobie weźmie.

„Pamiyntóm — mówiła mi stara kobieta — jak w tej dziedzinie, skónd jo pochodzym, miała sómsiadka „podciepka“. Nazywoł sie Malka, bo to była dziołcha. Już to miało 20 roków, a mówić to nie umiało. Siedziało to dycki na łóżku i bawiło sie ostrziszkami, bo dwie cery sómsiadki były szwadlynami [2]). Pod sobóm dycki miało naświnióne, dłógi nogi na winiec założone, ogrómnie ciynki, a głowe, jak tyn nasz baniok podłógowaty. Potym już chodzili ku ceróm sómsiadczynym pachołcy, toście sie mogli dziwać, co robił tyn „podciep“, jak czynstowali, a ónymu nie dali!“

Jeżeli któreś z dzieci jest ciężarem dla swoich rodziców i krzywdzi ich, już w młodym stosunkowo wieku osiwieje.

Gdy dzieci są w którymś dniu niegrzeczne i hałaśliwe, będzie deszcz.

Jeżeli się któremuś z dzieci da takie same imię, jakie nosi jeden z rodziców, wtedy dzieci tych rodziców są stale złe i niegrzeczne, jak tylko złym i niegrzecznym być można.

Jeżeli ktoś jajka z gniazda kradnie, oślepnie na starość, gdyż kura siedem razy „zaślepnie“, nim jajko zniesie.

Gdy się dzieci patrzą na żaby lub mordują je, nie powinny ukazywać zębów, gdyż żaba im je „porachuje“, a wtedy wszystkie wypadną.

---

[2]) szwadlyna = szwaczka.

Gdy ktoś ma czkawkę, jedni powiadają, że mu krew na serce kapie, inni, że go ktoś wspomina.

Gdy ktoś kicha, powiadają, że będzie pił. Jeżeli przedtem coś mówił, kichanie jest znakiem, że prawdę gadał.

Gdy ktoś ma „ośpicę“ na lewej stronie języka, obmawia go mężczyzna. Jeśli na prawej stronie języka — kobieta. „Ośpica“ ta mu zniknie po trzykrotnem plunięciu na rozpaloną do czerwoności blachę.

Jeżeli ktoś wskutek szybkiego zapinania się opuści nieświadomie jeden guzik — minie go nieszczęście.

Nieświadomie jakąś część ubrania wdziać na siebie odwrotnie — wróży szczęście.

Jeżeli ktoś się musi wrócić, wtedy nie będzie mu się darzyło.

Nie wolno przyrządów do zamiatania stawiać do góry szczecinami, gdyż nie chowią się świnie i paczą się.

Z tego samego powodu nie powinno się także nóg po umyciu ucierać. Również nie chowią się świnie, jeżeli się rozdaje mięso sąsiadom bez papieru lub jakiejś szmatki.

Owoców nie wolno zrzucać grabiami, gdyż tyle lat nie będzie drzewo rodziło owoców, ile zębów mają grabie.

Nikogo nie powinno się bić miotłą, boby miał siedem lat nieszczęście.

Jeżeli się zwierciadło rozbije, tyle lat nieszczęścia, ile kawałków z lustra.

Jeżeli ktoś pierwszy raz w miesiącu księżyc w nowiu zobaczy z poddachu, będzie miał nieszczęście. Jeśli z pod gołego nieba — szczęście. Nowy księżyc powinno się witać słowami: „Witóm cie miesiónczku nowy, od bolynio zębów i głowy“.

Jeżeli palcem ktoś wskazuje na księżyc, rozbije coś, np. garnuszek, jajko.

Jeżeli ktoś przyszywa guzik do ubrania. które ma na sobie, zaszywa swój rozum. Dziecko, jeżeli mu się będzie do tego ubrania, które ma na sobie, guzik przyszywało, może nawet mowę utracić.

Nowego ubrania, czy też nowej części ubrania, nie powinien drugi próbować, gdyż zabiera szczęście temu, któremu to ubranie należy.

Jeżeli ktoś nowozakupione buty postawi na stole, będą go gniotły.

Jeżeli ktoś wyrusza z domu, a spotka po wyjściu starszego człowieka, nie będzie mu się darzyło. Jeśli młodego — odwrotnie.

Jeżeli ktoś jada podczas drogi np. chleb, otrzyma żonę „dudłoka“. (Kobieta, która sama z sobą rozmawia).

Jeżeli ktoś zdepce drugiego, powiada: „Pujdym ci za drużbę“.

Znajdzie ktoś igłę, to znak, że jeszcze w tym dniu nie skłamał.

Jeżeli komuś się brzeg surduta lub sukni zagnie, powiadają, że będzie pił.

Jeśli ktoś nalewa np. piwo do szklanek przez rękę, (t. zn. tak, że dłoń ma do góry zwróconą), będzie wszystkich tych, którzy to pili piwo, głowa bolała.

Deszcz będzie, jeżeli się kobiety w jakiemś miejscu kupią celem plotkowania lub kłócenia się.

Grabie do góry zębami nieść — deszcz.

Gdy się kury spóźnią spać, lub gdy się pies, czy też kot pasie trawą, będzie na drugi dzień deszcz.

Kto się w piątek śmieje, będzie w niedzielę płakał.

Jeżeli się dzieci bawią ogniem (np. zapalają drzazgi i wywijają niemi) w następną noc będą się moczyły.

Gdy w piecu piszczy — bieda ucieka.

Jak się same drzwi otworzą — bieda wchodzi.

Gdy woda w garncu wrze — wróży „ostude“ (kłótnie).

Jeżeli ktoś sól wysypie — wróży „ostude“ (kłótnie).

Kto chce być pierwszy w tańcu, powinien jadać pierwszy skrawek z chleba (zwany także opiętkiem).

Która panna chce prędko wyjść zamąż, powinna z kołaczy, upieczonych na wesele, zjeść pierwsza kołacz.

Jeśli spodnie lub suknia spadają z ciała — ktoś tęskni. Tak samo ktoś tęskni, jeżeli warkocz się rozwiązuje sam.

Żyd nie będzie jadł śniadania, dopóki przynajmniej grosza nie zarobi.

Jeżeli przychodzień tak krótko zabawi u kogoś, że nawet niema czasu usiąść, wtedy zabrał „spanie“.

Jeżeli zapomni ktoś w garnku łyżkę, wtedy nikt z domowych nie może zasnąć.

Gdy kobieta gwiżdże na ustach, wtedy aniołowie płaczą.

Jeżeli się dwaj „zrzekną“ (równocześnie to samo zaczną mówić), wtedy albo ktoś przyjdzie, albo się pokłócą, według przysłowia: „Albo złość, albo gość“.

Jeżeli ktoś pchłę złapie na nodze — będzie deszcz, jeśli na ręku, list otrzyma.

Jeżeliby ktoś stąpał za czarownicą jej śladami, wtedy czarownica nie może iść. Zaczeka i mówi, idącemu za sobą: „Idą naprzód“.

Jeżeli mleko wykipie podczas gotowania, wtedy krowa będzie dawała mniej mleka.

Po zachodzie słońca nie wolno mleka z domu odnosić do kogoś, ponieważby krowa mleko straciła. Jeżeli jednak koniecznieby się mleko z domu odnosiło, należy je troszkę posolić.

Gdy pasterz pierwszy raz wypędza bydło na wiosnę, a więc po św. Jerzym (24 kwietnia), (gdyż przed św. Jerzym pasą tylko czarownice, aby ściągnąć mleko od krów, jeszcze się nie pasących) daje mu gospodarz tyle jajek, ile krów wypędza. Pasterz temi jajkami powinien „obkulać“ krowy, aby były tak okrągłe w ciągu całego roku, jak te jajka.

Gdy ktoś słyszy kukanie kukułki, będzie miał szczęście. Jeżeli, słysząc kukułkę, pierwszy raz w nowym roku, ma przy sobie pieniądze, będzie bogaty.

Jeżeli gdzieś pies, patrząc w dół, wyje płaczliwym głosem, ktoś u jego gospodarza umrze, jeśli zaś podczas tego wycia patrzy w górę, gospodarzowi jego dom spłonie.

Jeżeli podczas pożaru spali się kot lub pies, względnie jeżeli na zgliszcza, spadnie w tym samym dniu lub nocy, w którym był pożar — deszcz, wtedy wróży to, że do 10-ciu dni wybuchnie pożar u krewnych.

Jeżeli się chce suchot pozbawić kogoś, należy udać się przed wschodem słońca zbierać zioła. (Każdy gatunek trawy jest ziołem). Po

drodze z nikim nie mówić. W domu te zioła ugotować. W wodzie z tych ziół wykąpać suchotnika trzykrotnie, wody nie zmieniając. Potem tę wodę zanieść i wylać na rozstajnych drogach. Ludzie te suchoty rozniosą na swoich nogach w różne strony, a suchotnik wyzdrowieje.

Niektóre inne choroby usuwają (np. wole, guzy...), że nacierają ciało w niektórych miejscach lub nagrzewają, podczas ubywania księżyca.

Gdy jest wiatr — ktoś się powiesił.

Gdy ktoś się wiesza, to można go jedynie ocalić, wymierzając mu lewą ręką policzek, wskutek czego go zaraz djabeł opuści.

Jeżeli ktoś umarł w piątek, pójdzie prosto do nieba.

Nie powinien sobie nikt obiecywać podróży, o której nie jest pewien, że ją będzie mógł odbyć (np. do Częstochowy, do Rzymu), bo jeżeli jej za życia nie odbył, musi się męczyć po śmierci, odbywając ją.

Jeżeli ktoś za życia nie powie nikomu tego, co się należy (np. gdy kichnie: Pozdrów Pón Bóg lub przy dojeniu: Boże naspórz...), wtedy (tak samo, jak w balladzie „To lubię“) musi po śmierci czekać, aż go ktoś wyswobodzi.

Jeżeli w czyjś pogrzeb deszcz pada — znak, że nieboszyk był sknerą.

Po umarłym nie powinno się lamentować, bo można zmarłego zmartwych wzbudzić.

Jeżeli ktoś umrze, a wiatr wyje, to znak, że go Pan Bóg kochał.

Jeżeli ktoś kopnie po drodze kamień, powinien odmówić modlitwę za dusze.

Jeżeli się spotkają dwaj z przeciwnych stron idący i dają takie same sobie pozdrowienie, powiadają, że spotkały się dwie dusze, za które należy odmówić „Ojcze nasz“.

Kto sprzedaje ojcowiznę, nigdzie nie będzie miał szczęścia.

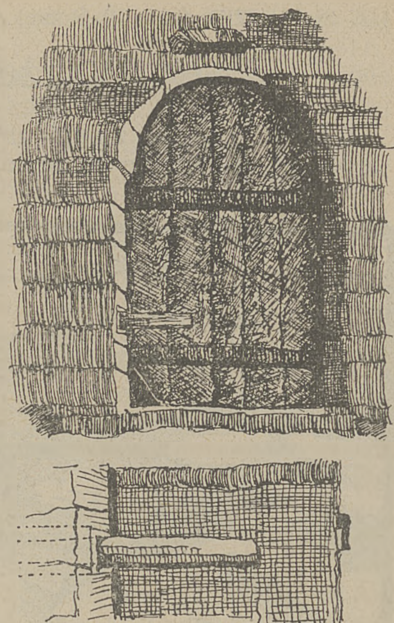
JAN SŁAWICZEK, III kurs Sem. Naucz. w Bobrku.

Zamki drewniane na Śląsku Cieszyńskim.

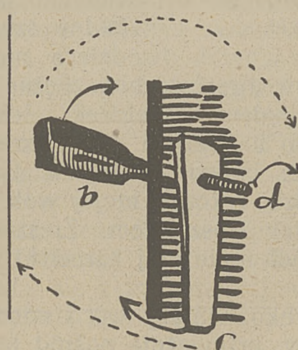
Przed wejściem w użycie obecnych zamków żelaznych, lud wiejski używał powszechnie zamków drewnianych własnego wyrobu. Kiedy wieśniak ruszał w pole — zwłaszcza w czasie żniw — chata pustoszała. Wtenczas zapierał ją, a najprostsze ludowe zamki stanowiły: zapora i kluczka, tu i ówdzie jeszcze używane w powiecie cieszyńskim. Omówimy je po kolei.

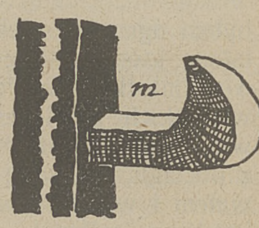
Drzwi zamknięte na pierwszy sposób, przedstawia nam rycina 1. W oddrzwiach, po wewnętrznej stronie drzwi, znajduje się otwór. Otwór ten biegnie w głąb ściany na jaki metr i jest wyłożony 4-ma deseczkami, tworzącemi właściwie graniastosłup. W otwór ten wsuwamy kloc o długości $^3/_4$ m (Ryc. 1). Kiedy drzwi mamy otwarte, to kloc spoczywa w otworze i wystaje go tylko część. Przy zamykaniu na zaporę przymykamy drzwi do ściany i wysuwamy kloc z otworu do jakich $^3/_4$ jego długości, ażeby pewna część miała oparcie o mocne ściany otworu. Jest to prosty sposób zapierania drzwi i mocny. Kiedy drzwi naciskamy z zewnątrz, napotykamy na opór silnej zapory.

Drugi prosty zamek drewniany to kluczka przedstawiona na rycinie 2. Drzwi (zamykane) zaopatrzone w kluczkę otwierają się z wewnątrz i z zewnątrz. Cały ten „zamek“ składa się z właściwej kluczki, umocowanej w oddrzwiach (Ryc. 4) i z zapory zwanej „obyrtlem“ (Ryc. 3, c). Przez górną część „obyrtla“ przechodzi drążek (d), rozszerzający się po zewnętrznej stronie drzwi w wiosłowatą deszczułkę (Ryc. 3, b). Jeśli drzwi chcemy zamknąć, wówczas przekręcamy w kierunku strzałki drążek (d). Skutek naszej czynności będzie ten, że „obyrtel“ (c) posunie się po linji kołowej w kierunku strzałki (ku górze) ponad kluczkę i opadnie wewnęk (m) tej ostatniej. W następstwie tego i zewnętrzna część zamka, wiosłowata deszczułka (b), z pionowego przyjmie położenie poziome.


Ryc. 1. Drzwi od wewnątrz zamknięte na zaporę. — Zapora.

Do tak zamkniętych drzwi wleźć łatwo z zewnątrz (o ile nie mają z wewnątrz jakich ubezpieczeń). Proces wtedy przebiega zupełnie analogicznie, tylko odwrotnie. Skręcamy deszczułkę (b) o 180° w lewo, „obyrtel“ podnosi się z wnęku kluczki i opisawszy po wewnętrznej stronie



Kluczki. Ryc. 2. Ryc. 3. Ryc. 4.

drzwi półkole, przyjmuje stanowisko poprzednie, uwidocznione na rycinie 3.

JAN SŁAWICZEK (kurs III, Bobrek. Sem.).

Wrażenia z Tatr.

Może czytelnik zwątpi za chwilę w moją poczytalność, gdy się dowie, że w ostatnim tygodniu wakacyj, z bajeczną kwotą dwóch złotych polskich w kieszeni (oprócz kolei), z chudo naładowanym plecakiem, z pożyczaną laską, sam i bez mapy, ruszyłem w... Tatry.



Rys. J. Sławiczek.
Tatry we mgle.

— Dokąd? — spyta zdumiony czytelnik, znanym w Europie przyjętym ruchem, podnosząc rękę ku uchu.

— W Tatry — powtarzam, a zarazem uspokajam co do obaw o mój umysł. Pracował on co prawda z pewnym, zrozumiałym zresztą wysiłkiem, jak na tak poważne przedsięwzięcie, ale zawsze normalnie. Jechałem z zimnem postanowieniem zadośćuczynienia mojej ambicji, aby kolegom pokazać moje nieugięte postanowienie i wreszcie strona praktyczna: aby wygrać zakład, jaki kilka dni temu uczyniłem z moim kolegą o marną kwotę dziesięciu złotych. Jak widać z powyższego, żadne szlachetniejsze cele mną tak dalece nie kierowały... Wprawdzie byłem ogromnie ciekaw ujrzeć te niebosiężne Tatry, o których tyle czytałem, których florę znałem cośkolwiek z lekcji botaniki, ale głównie, o co mi chodziło, to o to, żebym po powrocie do domu mógł wobec wszystkich powiedzieć; byłem w Tatrach. Całą wyprawę traktowałem więc jako pewien rodzaj rekordu mojej woli. Gdzie pójść, jak wysiędę z pociągu, o to się nie troszczyłem. Zresztą, dużo, dużo już wędrowałem i wszędzie wiódł mnie mój harcerski instynkt, tak dobrze znany każdemu łazikowi.

Pociąg pędził szybko. Obrazy wsi i miast zmieniały się jak w kalejdoskopie. Jechaliśmy przeważnie pośród łagodnych zboczy górskich, gęsto zalesionych. Do południowych, słonecznych zboczy tych gór poprzyczepiały się gęsto chaty góralskie, a przed niemi na murawie widać było gnijące płachty lnu. Widać kwitł tu na szeroką skalę przemysł tkacki. Czasem pociąg po godzinnym biegu, zdyszany, szczękający mnóstwem żelaziwa, przystanął na jakiejś stacyjce, wówczas niewiadomo skąd, zjawiała się nagle cała gromada chłopców góralskich z pełnemi koszykami grzybów i ofiarowywała je pasażerom, głośno i hałaśliwie reklamując swój towar. Oczywiście amatorów nie brakowało i po chwili cała czereda tych obdartusów ze złotówką w jednej a pustym koszykiem w drugiej ręce znikała tak szybko, jak szybko się pojawiła. Przy

całym tym interesie była jeszcze ta dogodność, że grzybów tych nie było trzeba w domu „solić“.

Począwszy od Nowego Targu coraz częściej zaczęli pasażerowie wyglądać oknami. Ogarnął mnie miły niepokój, że nareszcie po długiej podróży ujrzę mój cel — Tatry.

Mój niepokój miał być za chwilę zaspokojony i ustąpić miejsca — leciuchnemu rozczarowaniu, bo skoro pociąg wypadł z dwóch ogłuchłych, niemych ścian ciemnego boru, a ja wyjrzałem oknem, zobaczyłem Tatry, tak Tatry, ale zachmurzone. Wspaniałe, nagie turnie, o których tyle słyszałem, kryły się za potężną zasłoną mgieł, i gdzieniegdzie tylko przepaściste zręby przeświecały. Zresztą słusznie się stało, bo jechałem w Tatry nie ze szczerą intencją podziwiania ich, ale dla zaspokojenia ambicji. Za karę Bóg prześcieradłem mgieł zakrył Swoją świątynię skalną. Zadumałem sie, patrząc na te mgliska.

Nagle pociąg stanął. Szarpnął się dwukrotnie, jak brytan, który widzi, że obroża za krótka i obcego tak czy tak nie dostanie i znieruchomiał. Byłem w Zakopanem.

Przed dworcem ścisk, tumult, nawoływania tragarzy, turkot breków, kolas, sygnały samochodów, popychania ludzi tu i tam spieszących. Zaraz poznać, że się jest w letniej stolicy Polski.

Kiedy się rozgorączkowany tłum uspokoił, breki i samochody się porozjeżdżały, na ulicy ruch zwolniał. Zostałem sam z mojemi myślami. Z dziwną wyrazistością powstawała mi w świadomości myśl, że jestem tu sam jeden, decydujący o sobie, zdany na swoje doświadczenie i 220 km oddalony od mojego kochanego Śląska. Rychło jednak stłumiłem te niepokojące refleksje i ruszyłem ulicą prosto w górę.

Mijałem dziesiątki różnych: „Warszawianek“, „Klemensówek“, „Jutrzenek“, „Jordanówek“, „Slimaczych“, „Ślązaczek“ i t. d., które się mimo woli narzucają turyście. Miałem wrażenie, że z tych szyldów pstrych uśmiecha się mdło i jałowo cały dowcip zakopiańskich letników. Drogą snuli się panowie elegancko według najnowszych mód ubrani, że ja mimowoli wstydziłem się swego harcerskiego, ubogiego mundurka. Uczułem żal do tych ludzi, co zamiast zwiedzać Tatry przyjechali do Zakopanego trwonić. Jakoś nieswój się czułem; zdawało mi się, że mnie wszyscy przechodnie obserwują. Toteż przynaglałem siebie do pośpiechu, byleby odejść czem dalej od ludzi. Przede mną na linji szosy wznosiła się Kopa Królowej, skąpo kosówką porosła, prawie że naga. Pod jej szczyt pięła się z trudem biaława wstążka serpentyny, znikająca za odłamem wystającej skały, zaś po samym szczycie przechadzały się mgły.

Po kwadransie byłem w Kuźnicach, a stąd, jak przeczuwałem, zaczynała się owa serpentyna na Kopę Królowej. Rzeczywiście: skręciłem na lewo i zagłębiłem się w las. Zapuszczam się w Tatry. Pomodliłem się w duchu o szczęście w wycieczce.

Serpentyna, którą szedłem, wiła się w górę wśród małych świerków, jak przeguby węża. Niebawem było można zobaczyć pierwszych wysłańców alpejskiej flory tatrzańskiej. W cieniu smreczków rosły wspaniałe złotogłowia *(Lilium martagon)*, a sąsiedztwo zapewne przyjemne trzymały z niemi naparstnice *(Digitalis ambigua)*. Nieco wyżej na karczowisku, by odbicie błękitu, modrym kobiercem słały się ostróżki ta-

trzańskie *(Delphinium oxysepalum)*. Na oglądaniu tych znanych mi tylko z botaniki okazów zeszła mi droga na Boczań. Stąd prowadziła już wygodna ścieżka ku owemu z dołu widzianemu szczytowi. Tutaj także spotkałem pierwszych turystów.

Zagadnąłem pierwszego z brzegu o potrzebne informacje i za kwadrans byłem na Hali Gąsienicowej. Poznałem ją zaraz. Tyle przecie widoków i obrazków przedstawiających ją, oglądałem. To polski „Pan Fudżi" krajobrazów tatrzańskich.

Rozległa hala, zarzucona głazami granitowemi. Tu i ówdzie dźwiga się jakby z popod tych głazów niska koliba, a nieco na boku z poza smreczków wystrzela masywna, granitowa budowla „Schroniska Tatrzańskiego". Zaś to, dzięki czemu Hala Gąsienicowa przedstawia się tak malowniczo, to wspaniałe obramowanie okolicznych gór: Świnicy, Orlej Perci, Granatów i t. d.

Chaty i koliby miały tu płaskie dachy, były niskie i dość szerokie. Widać stąd, że „architekci" stawiający je, byli zajęci rozmyślaniem o wietrze halnym. Napotkanego górala zapytałem o potrzebne mi wskazówki: „Daleko jeszcze do Pięciu Stawów? Czy przejdę przez Zawrat? i t. d. Ale góral był najwyraźniej pod humorem. Mierzył mnie oczyma, a odpowiedziami straszył: Do wieczora nie dojdziecie do Pięciu Stawów, bo to daleko, a tak czy tak ma się na odwieczerz. Zresztą, przez Zawrat nie przejdziecie, bo tam świeże śniegi spadły". Nie odpowiedziałem mu nic na to. Pomyślałem: „Gdybym ci tak dał złotego, baco, tobyś mnie gorliwiej poinformował. Ale tak szkoda fatygi, co?"

A śnieg spadł świeży. Widziałem go całe płachciska, leżące w cieniu między szczelinami skał. Nie długo, a doszedłem do Czarnego Stawu. Dziwne wrażenie wywarł na mnie ten pierwszy w życiu spotkany staw wysokogórski. W pamięci stanął mi, jakby przypomnienie, prawdziwie odczuty, głęboko refleksyjny wiersz Wolskiej:

Pamiętasz w skalnej pustki surowiźnie
W kamień oprawne oko stawu pawie
I te dwa światy, spojone z sobą światy bliźnie:
Ten nasz i tam ten wspak odbite w stawie
Jak przorana, jak z grzbietu jaszczura
Przez wielkoludów zwleczona po walce,
Na turni zębach rozpostarta skóra,
Ze krwi płucząca łap nieżywych palce
Na wątłym niby przytrzymana szwie.
Dwie dzikie złudy, dwie jawy dwie,
Kędysz o duszo będzie prawda tkwić!
Gdy ze szwu, kiedyś czas wypruje nić?

Prawdziwie, wstydu swej nazwie Czarny Staw nie przynosi, bo oblicze ma czarne, rzeczywiście pokryte nieskończoną ilością zmarszczek. Ścieżką prowadzącą ku Zawratowi okoliłem staw i zacząłem się wspinać ku drugiemu co wyżej położonemu Zmarzłemu stawowi. Tu czekała mnie niespodzianka. Zamiast stawu ujrzałem w małem zagłębieniu skalnem skołtunioną i skłębioną masę mgieł...

Dopiero po dobrym kwadransie mgły ustąpiły, a ja zobaczyłem na dnie tego kotła skalnego, jakby dużą kałużę z wystającemi w wielu miejscach nad powierzchnię głazami. Woda tej kałuży była jednak przeźroczysta i każdy kamień denny, dziwnie wyraziście, sino lub białawo ku powierzchni wyglądał.

Tu od stawu dopiero zobaczyłem ów straszny Zawrat (przyznaję się, że nie wydawał mi się tak strasznym) i od czasu do czasu na wystającej skale błękitno znaczącą się moją drogę. Pomimo, że mi całe towarzystwo bawiące nad „Zmarzlakiem“ (na wycieczce robi się nader szybko znajomości) tego odradzało, ruszyłem ku Zawratowi.

Zwinnie przeskakiwałem głazy i przy ciągłem „lornetkowaniu“ mnie z dołu, przebyłem już połowę drogi. Zacząłem się coraz bardziej niepokoić. Okolica coraz dziksza. Na skałach okolicznych już tylko jeden kwiatek smutnie zwieszał główkę (Kozłowiec właściwy).

Dla dodania sobie odwagi, zdjąłem plecak i zacząłem się posilać (od rana nie jadłem, żywiąc się czystem powietrzem tatrzańskiem). I rzeczywiście: „W pełnem ciele zdrowy duch“. Obawa i lęk mój pierzchały. Pijąc moją herbatę na „rurę“, obróciłem się w stronę Zawratu: „Hej, panie Zawrat! Nie zawracaj pan głowy! Wyjdę na pański grzbiet i tak“. Wtem wiatr zaświstał przeciągle, albo raczej: zaśmiał się ironicznie. Zrozumiałem jego śmiech.

„Co nie? Zobaczy pan“.

Teraz serce moje napełniła po brzegi odwaga i harcerska ambicja. Prędko wpakowałem do plecaka reszki moich skromnych wiktuałów i wio!

Droga stawała się coraz cięższa, a wkońcu pojawiły się bezwstydnie nagie ściany granitowe i klamry. „O! to jak w Alpach“ — pomyślałem z dumą. Uważnie obejrzałem łańcuch czy mocny, czy zapomocą siarki wżarł się w granit i potem zadecydowałem mu powierzyć życie. Z początku szło to jako tako, ale potem się sprawa stanowczo pogorszyła. Coraz więcej mgieł napędzał wiatr z dołu tak, że przysłonił mi już widok sąsiednich granitów. To już nie podobało mi się wcale. No, ale za wygraną nie dałem. Krzepiłem się: „Pomalućku a ciągle“. No, tylko ostrożnie, bo jak tu kark skręcisz, to nie będziesz mógł przed wszystkimi powiedzieć: „Byłem w Tatrach“. Potem wpadłem na ton humorystyczny: „Panie Zawrat, moje uszanowanie panu. Jak tam zdróweczko pańskiej żony, Orlej Perci?“ Takiemi i tym podobnemi frazesami czysto polskiej natury, których się moja „studencka“ osoba całe mnóstwo od pp. Makuszyńskiego i Perzyńskiego nauczyła, dodawałem sobie otuchy. Trzymałem przytem głowę do góry: „Co, panie kochany, jak na pierwszą turę tatrzańską masz pan znakomite nogi“.

Skończyły się wreszcie klamry i przede mną rozciągała się bielutka płachta śniegowa. Z jednej strony były skały, z drugiej rozpościerała się przepaść.

Ostrożnie, odgrzebując toporkiem coś niecoś śniegu, kładłem w te otwory nogi ostrożnie, bo śnieg się miał ochote usuwać. Potem zacząłem leźć na czworakach. Czyniłem to wszystko wśród najgęstszej mgły. Jeszcze krok, dwa, i okropnie rozradowany wbiegłem pędem na szczyt przełęczy: „To jest ten straszny Zawrat“ — zaśmiałem się, jak to zwykle bywa, gdy niebezpieczeństwo już minęło i z wielkiej radości zaśpiewałem sobie: „Boże, coś Polskę“. Ale głos mój słabem tylko echem odbijał się od ścian granitowych. Natomiast każda z nich jakby mówiła: „Jest też o co się tak drzeć, smarkaczu! Zbyt łatwe zwycięstwo!“

Spojrzałem w dół, skąd przed chwilą wylazłem. Nie wiem czemu te gęste, fantastyczne mgły, gnane wiatrem, skłębione w gardzieli Za-

wratu — przypominały mi wąwóz Termopile... Zostałem na szczycie sam. Mgły — chwała Bogu — stroniąc widocznie od mojego towarzystwa, uciekły w dół. Rad byłem niewymownie, że już pierwszy cel wywycieczki osiągnąłem. Naokoło mnie rozciągała się Świnica, Orla Perć, Granaty...

Schowałem plecak za wystającą skałę jako niepotrzebny i w wielkim uniesieniu hajże na Świnicę! Ale ustałem już w połowie, ciężko dysząc. Wtedy poczułem, że tak nie dam rady. Rozsądnie i ostrożnie stawiałem teraz kroki, wybierając drogi najłatwiejsze (odwrotnie jak przedtem). Niedługo, a musiałem się już po głazach wysokich wspinać. Droga stawała się coraz to trudniejsza. Coraz więcej znaków czerwieniło się na skałach. Przystawałem co chwila, urządzając tak zwane „odsapki". W pamięci mojej stawał mi często wypadek księdza na Lodowym, zasłyszany w Zakopanem i robiło mi się straszno. Ha! darmo! — pomyślałem. Wracać nie pozwolił mi harcerski „ambit". „Świnica, nie Zawrat" — pomyślałem. Zmachany na nic, osiągnąłem nareszcie szczyt. „Trochę za dużo tego, jak na jeden dzień" — pomyślałem. Mimo zmęczenia cieszyłem się. Serce skakało mi z uciechy (o ile ono umie skakać), a wichrzysko na Świnicy (proszę zważyć wysokość) wyło też prawdopodobnie z uciechy.

Ale za trudy podróży Pan Bóg nagradza, nawet na tak niemoralnej górze jak Świnica. Spotkałem bowiem wymarzone towarzystwo: Dwie szczebiocące panny (po studencku „sikory, dzierlatki" i t. d.) z bratem, i akademika, medyka z 3-go rocznika. Gawędząc i odpoczywając, stępowaliśmy w dół, bo i panie szły w kierunku Pięciu Stawów. Zejście było trochę trudniejsze, no, ale wspólnemi siłami, używając wszystkich części ciała do pomocy, znaleźliśmy się po półgodzinnej wędrówce na wygodniejszej ścieżce. Koło ścieżki modrzyło się od gęstych kolonij, tojadów mordowników *(Aconitum Napellus)*. Specjalnie zainteresował mnie pierwszy raz w życiu widziany dzwonek alpejski *(Campanula alpina Jacq.)*, którego maleńkie grona ledwie były widoczne na ziemi.

A cudowny rozpościerał się widok. Majaczące przed nami szczyty wyłoniły się zupełnie z mgły, a słońce zapaliło się na nagich stokach. Cudowny i podniosły widok: Jedne strony szczytów były w półmroku, a drugie stawały się czystem złotem. Zaś skały, po których zstępowaliśmy na dół, były szare i zimne. Tu już była noc, tam jeszcze słońce świeciło, ostatni pocałunek promienny, szczerozłoty, kładąc na granitowem czole turni. Na dole przed nami rozciągało się całe morze milczących głazów, w różnych fantastycznych pozach.

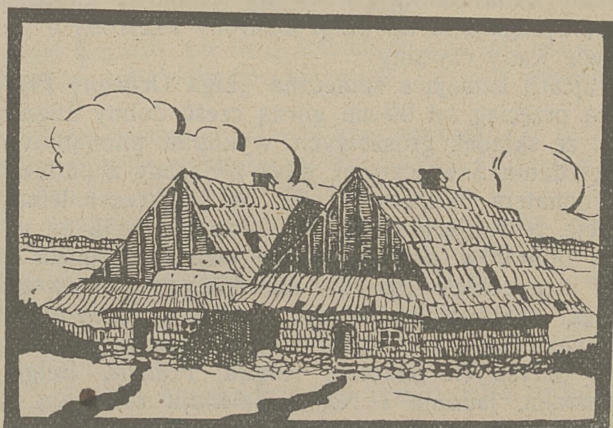
Przygnębiające wrażenie wywierała ta pustka. Zdało się, że to okoliczne olbrzymy z jakiejś strasrnej zemsty zgniotły i rozkruszyły zamczysko skalne, stojące tu przed wiekami. Wśród tych głazów spostrzegliśmy mały staweczek, kałużę. Taki mały... a nad nim duży, granitowy głaz. Dziwnie mi ten obraz wyrył się w duszy: Maleńki staweczek, a nad nim drzemiący, duży, granitowy głaz.

No, ale trzeba się było śpieszyć. Noc zapadała. Ozłocone turnie zniknęły jak sen. Zerwał się wiatr i jął na nas prać mgliskami. Mgły się zgęszczały tak dalece, że nam w półgodzinie przemokły ubrania. Schroniska jak niema, tak niema. Nareszcie po półgodzinnej wędrówce zamigotało w dali światełko. Zgodny okrzyk ulgi, i rozpoczął się na zła-

manie karku bieg do schroniska. A... tam powitało nas nowe towarzystwo.

W Tatrach, gdzie wszyscy ludzie mają jeden wspólny cel, znajomości zawiera się bardzo prędko. Nie trwało też pół godziny, a już całe towarzystwo siedziało przy wspólnej wieczerzy. Kogo tu nie było?

Był sympatyczny Włoch Żan, był fabrykant z Bielska, był fabrykant z Łodzi z dwoma córkami, z których jedna była słuchaczką nauk przyrodniczych na warszawskim uniwersytecie, jednem słowem wielka zbieranina. Mówiliśmy też rozmaicie: po polsku, czesku, niemiecku i włosku.



Rys. J. Sławiczek.

Koliba na Hali Gąsienicowej.

Kiedy nasze żołądki dostały żądane zadośćuczynienie, wtedy p. Hania, jedna z córek p. X. z Łodzi, na nasze gorące prośby, zagrała nam na znajdujących się w schronisku skrzypcach uwerturę „Dichter und Bauer".

Tego wieczoru nie zapomnę nigdy. Siedzieliśmy jeden obok drugiego na werandzie schroniska, z duszą przepełnioną rozmaitemi wrażeniami. Mgła znikła i odkryła Tatry, zasłonięte gwiaździste niebo i jakby z bajki wyczarowane Polskie Stawy. Tatry oddychały zda się głęboko swą kamienną piersią w jasną, gwiezdną noc. Skrzypce piano zachwycały się polską nocą, stawy szumiały cicho, cichuteńko, jakby pianissimo do wtóru. Moje myśli płynęły za tym duetem człowieka z naturą do kochanego Śląska...

No, ale trzeba się było brać do odpoczynku. Ale co tu zrobić? Łóżko kosztuje Zł. 3·50, a ja mam tylko dwa złote w kieszeni. Z kłopotu wybawił mnie kolega akademik proponując mi, żebym się przespał z nim w jednem łóżku. On ma legitymację studencką i jego nocleg kosztuje tylko połowę: „Jeżeli zaś prześpimy się razem, to zapłacimy tylko połowę". „Hm" myślę sobie, logika jasna, jak słońce. Cudowna propozycja! w sam raz „na mą biedę i niedolę". No i przespaliśmy się wspólnie. „Czy dobrze?" — spyta zainteresowana osoba. No więc co do mnie to tak (stanowczo). Co do mojego kolegi, krótko mówiąc, czy się mój kolega na to orzeczenie zgodzi — nie wiem. Pono jestem ob-

darzony w nocy zbyt gorącym temperamentem i w łóżku wyprawiam różne sztuki akrobatyczne. Dość, że jedna noc już przeszła i nastał poranek cudowny... (Dok. nast.)

Sprawy organizacyjne.

Wezwanie.

Państwowa Rada Ochrony Przyrody (Kraków, Lubicz 46) wzywa nas, abyśmy przystępowali do „Ligi Ochrony Przyrody“.

W odezwie Rady czytamy:

„W Szwajcarji istniejąca społeczna „Liga Ochrony Przyrody“ wydzierżawiła na przeciąg lat 99-ciu górną część doliny Engadinu, a młodzież szkolna ze składek groszowych wykupiła pamiątkowy półwysep Rütli, drogi każdemu Szwajcarowi, gdyż związany z pamięcią przysięgi narodowego bohatera Wilhelma Tella. W Niemczech istnieją imponujące organizacje, realizujące stopniowo plany nabycia na własność narodu wielkich obszarów położonych na niżu i w Alpach celem stworzenia z nich niemieckich „parków narodowych“. Norwegja wykupiła niedawno dzięki ofiarności publicznej z rąk właściciela prywatnego największy i najpiękniejszy wodospad, aby zachować go w stanie nienaruszonym dla przyszłych pokoleń. Anglja, Francja, Belgja, Szwecja, Ameryka, Australja, Japonja i Nowa Zelandja rozwijają na tem polu imponującą działalność.

A u nas?

U nas Świteź Mickiewiczowska sprofanowana ręką obcą i wrogą świeci świeżemi i ciągle odnawianemi ranami w otaczających ją lasach, opiewany przez Słowackiego kwiecisty step w okolicach Krzemieńca w ostatniej swej resztce (na Makutrze) porżnięty jest, po parcelacji obszaru dworskiego, bróździami oddzielającemi działki drobnych właścicieli, którzy niebawem przystąpią do jego zaorania, cudowne Pieniny i Tatry są po wandalsku ogałacane z szaty leśnej, w rzekach górskich wybija się tysiące łososi sposobami gospodarczo niedozwolonemi, a w Niemnie pod Grodnem zabito niedawno bezkarnie ostatniego w tej części kraju dobra itd. itd. Powojenne zdziczenie obyczajów święci triumfy.

Trzeba nam wreszcie zdobyć się na czyn własny w obronie piękna polskiej ziemi!

Pragniemy w Polsce powołać do życia polską „Ligę Ochrony Przyrody“. Apelujemy do istniejących i zorganizowanych Towarzystw Polskich, aby zechciały przystąpić do „Ligi“. Chcielibyśmy, aby zgłosiły swe przystąpienie jak najliczniejsze Towarzystwa społeczne, naukowe, zawodowe i kulturalne, i to zarówno społeczeństwa starszego jak i młodzieży, oraz aby członkowie tych Towarzystw zgodzili się płacić po 30 groszy rocznie“.

Nagrody.

Prezydjum Komisji Kół Krajoznawczych Młodzieży przyznało p. St. Krystasiakowi, uczniowi kl. VIII gimn. w Pruszkowie nagrodę w kwocie 50 zł. za opisy wycieczek: „Echa wakacyjne z Białorusi“ i „Ku Morzu“.

Rada Główna Polskiego Tow. Krajoznawczego przeznaczyła komplety książek krajoznawczych dla Kół w Pruszkowie i Siennicy w nagrodę za ich pracę krajoznawczą.

Zjazd Kół.

Prezydjum Komisji Kół Kraj. Młodzieży Szkolnej uchwaliło, że Zjazd Kół w bieżącym roku odbędzie się w Wilnie w dniach 13, 14 i 15 kwietnia.

Przypominamy uchwałę Zjazdu krakowskiego, że uczestnicy Zjazdu powinni przybyć o ile możności w strojach ludowych. W pierwszym dniu Zjazdu wieczorem odbędzie się wieczornica złożona z produkcyj członków Kół. Równocześnie ze Zjazdem będzie urządzona wystawa prac krajoznawczych młodzieży. Zgłoszenia udziału należy nadsyłać do Prezydjum Komisji K. K. M. S. do dnia 15 marca.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Koło Krajoznawcze w Brzozowie, Koło odbyło w b.r. szk. pięć posiedzeń, na których wygłoszone zostały dwa referaty, mianowicie: 1) „Znaczenie wycieczek dla Kół Krajoznawczych“ (Seiler L.), 2) „Brzozów w wiekach średnich“ (Ryszówna J.). Nadto odbyły się dość często zebrania poszczególnych sekcyj i posiedzenia Zarządu. Kilku członków Koła wykonało modele przydrożnych kaplic a jeden model kościoła wiejskiego. Z dniem 1 listopada przystąpiło koło do wydania własnego miesięcznika p. t. „Nasze życie“, którego dotąd ukazały się dwa zeszyty. W końcu Koło odbyło dwie dalsze wycieczki a to: 1) 6/X 27 do Sanoka na wystawę ogrodniczo-rolniczą, 2) 9/XI 27 nad San do miejscowości Witryłów, Temenów, Nozdrzec.

Kółko Krajoznawcze Gimn. SS, Urszulanek we Lwowie. Nasze kółko rozwija się nadal pomyślnie. W celu teoretycznego przygotowania członkiń do pracy krajoznawczej i zaznajomienia ich z jej rozwojem, na zebraniach miesięcznych były wygłaszane i omawiane referaty, opracowane na podstawie poszczególnych numerów „Ziemi“ i „Orlego lotu“. Wzięłyśmy czynny udział w wystawie geograficznej, urządzonej przez Towarzystwo Krajozn. w Warszawie, przygotowawszy wykresy siły i kierunku wiatrów, wiejących we Lwowie w r. 1925.

W zimie staraniem Kółka został wygłoszony cykl odczytów o misjach w Azji i Afryce, z uwzględnieniem stosunków geograficznych i etnograficznych tam panujących. Połowę dochodu z tych odczytów przeznaczyłyśmy na misje syberyjskie. Oprócz misyjnych, był jeden odczyt o polskich legendach ludowych, ilustrowany przeźroczami.

Po Bożem Narodzeniu zostało przedstawione „Betleem Polskie“ Rydla w naszej szopce. Poszczególne role odegrały lalki, zrobione ze szmatek. Figurki przedstawiające św. Rodzinę zakupiłyśmy rzeźbione.

Bibljoteka nasza powiększyła się o kilkanaście książek krajoznawczych, a zbiory o fotografje i okazy sztuki ludowej.

Przy końcu roku szkolnego zapisałyśmy się do „Związku Kół Krajoznawczych młodzieży“ i zgłosiły do „Towarzystwa Ochrony Przyrody“.

Pozatem odbyło się kilka wycieczek. Przedewszystkiem zwiedziłyśmy katedrę Ormiańską we Lwowie. Najstarsza jej część została zbudowana około roku 1370

w stylu ormiańskim, na wzór katedry w Ani. Uwagę zwraca architektura, ornamentyka kuta w kamieniu, oraz kopuła i sklepienie ozdobione mozaiką prof. Mehofera. Środkowa część katedry wybudowana została w r. 1630 w stylu renesansowym, obecnie odnowiona, ściany zdobią piękne obrazy art. mal. Rosena z r. 1926. Dziedziniec jest wyłożony grobowymi rzeźbionemi płytami. Wieża stoi osobno.

Również zwiedziłyśmy szkołę gospodarczą w Snopkowie i ochronkę przez nią założoną i utrzymywaną. Ponownie byłyśmy w szkole przemysłowej na wystawie prac szkolnych. Na uwagę zasługiwały piękne meble, wyroby kilimkarskie i alabastrowe, rysunki, batiki, a w końcu wspaniały rzeźbiony ołtarz, przedstawiający śmierć Chrystusa na krzyżu, przeznaczony do jednego z kościołów.

Następnie zwiedziłyśmy muzeum przemysłowe. Jest to piękny gmach, specjalnie na muzeum przezmaczony i budowany. Mieszczą się w nim polskie i zagraniczne wyroby wszystkich gałęzi przemysłu artystycznego, z uwzględnieniem sztuki ludowej i kościelnej, oraz Miejska Galerja obrazów.

Ostatnią wycieczkę urządziłyśmy za miasto na Kortumową Górę, skąd obserwowałyśmy Roztocze, kotlinę Lwowa i osady podmiejskie. Obecnie na tej górze zostało ustawione pierwsze działo do strącania samolotów,

Tak przedstawia się praca naszego Kółka w ubiegłym roku szkolnym.

M. B.

Koło Krajoznawcze im. St. Witkiewicza, przy Państw. Sem. Naucz. Żeń. w Sandomierzu. Koło istnieje od roku 1925. Opiekunem Koła był do czerwca 1927 r. prof. Grzędzielski. Kółko liczyło wtedy 65 członkiń. Praca Koła szła w następujących kierunkach: odczytowym i wycieczkowym. Czytano „Orli Lot“ i „Ziemię“, oraz zbierano okazy, które oddawano do Muzeum Powiat.-Sandomierskiego.

Wygłoszono 11 następujących referatów: „Huculszczyzna“, „Klimontów“, „Góry Świętokrzyskie“, „Lud Podhala i zdobnictwo“, „Kraków“, „Pieniny“, „Wyżyna Sandomiersko-Kielecka“, „M. Karłowicz w Tatrach“, „Warszawa“, „Poznań“ i „Stanisław Witkiewicz“. Członkinie korzystały również z bibljoteki, liczącej 32 dzieła. Odbyły się w tym czasie 3 wycieczki: 1) po Sandomierzu; 2) do Gór Swiętokrzyskich; 3) do Lwowa, Borysławia i Stanisławowa. W czerwcu 1927 r. urządziło Kółko „Wieczór pieśni polskiej“, na którym członkinie w strojach narodowych śpiewały pieśni wiejskie, poczęści już zanikające.

Tak było do roku VI. 1927 r.

Od września 1927 r. Kółko było nieczynne z powodu wyjazdu opiekuna Koła. Dopiero od grudnia Kółko ma opiekunkę i organizując się, rozpoczęło pracę. Koło liczy obecnie 25 członkiń. Odbyto już 4-ry zebrania. Po zmianie zarządu, omówiono szczegółowo plan pracy Koła i dla ułatwienia jej, podzielono organizację na sekcje: 1) etnograficzną; 2) sprawozdawczo-odczytową; 3) wycieczkową; 4) przyrodniczą; 5) muzealną.

Mamy w planie urządzić w najbliższym czasie odczyt, mający zachęcić koleżanki naszego Seminarjum do należenia do Ligji Ochrony Przyrody.

Koło Krajoznawcze Uczniów Seminarjum Naucz. w Bobrku koło Cieszyna. W roku sprawozdawczym 1927 odbyło Koło 9 zgromadzeń członków, na których wygłoszono 8 wykładów na następujące tematy: 1) „Gdańsk a Polska“ (kand. Kania, V); 2) „Kolonizacja polska w południowej Ameryce“ (kand. Wdówka, V); 3) „Żegluga morska“ (kand. Sławiczek, III); 4) „Dusza ludów Wschodu“ (kand. Przywara, V); 5) „Holandja“ (kand. Broda, III); 6) „Dusza ludów Wschodu“ c. d. (Przywara); 7) „Emil Zegadłowicz“ (Sławiczek, III); 8) „Spisz i Orawa“ (kand. Sławiczek, III). Na zgromadzeniach wygłaszano także deklamacje.

Bibljoteka powiększyła się o 30 dzieł, liczyła pod koniec roku 480 dzieł. Członkowie przeczytali 1723 książek.

Zbiory powiększyły się o 295 widokówek, 27 ornamentów ludowych i 5 fotografij; obejmowały z końcem roku 745 widokówek, 50 śląskich ornamentów ludowych i 8 fotografij.

Ruch kasowy. Gotówka z r. 1926 — 130·75 zł., wpływy w r. 1927 — 294·45 zł., razem 425·20 zł. W rozchodach: Zakupno książek 227·40 zł., prenumerata czasopism 92·75 zł, inne 32·15 zł., gotówka kasowa z końcem r. 1927 — 72·90 zł., razem 425·20 zł.

Członkowie zajmowali się specjalnie zbieraniem motywów śląskiego zdobnictwa ludowego. Koło istniejące od r. 1919, liczyło z końcem 1927 roku — 168 członków.

Koło Krajoznawcze w Dziśnie. Koło istnieje przy Gimnazjum państwowem

im. ks. Grzegorza Piramowicza w Dziśnie, województwo Wileńskie, założone w roku szkolnym 1924/25 jako „Koło Historyczno-Krajoznawcze" przez pana profesora Artura Medveya, obecnie kuratora Koła. Zgromadzenie Walne uchwaliło wkładkę miesięczną w kwocie 20 groszy z tem, że od powyższej mogą być zwalniani małozamożni koledzy.

Praca Koła polegała: 1) na opracowaniach referatów historycznych; 2) na przygotowaniach materjałów do dyskusji zapowiedzianych odczytów; 3) na powiększaniu zbiorów do muzeum.

Nadmienia się, że w roku ubiegłym otwarto muzeum, które posiada już, chociaż ubogie narazie, zbiory monet, aktów itd. Jednak spodziewamy się, że się powiększą, gdyż członkowie szperują po okolicy, wydobywając wartościowe zabytki i materjały, mogące posłużyć do bliższego zbadania kultury miejscowej. W związku z tem wyłoniono sekcję, którąby badała osady, mogiły ponapoleońskie, dość gęste na terenie dziśnieńszczyzny.

Chciałoby Koło nabyć aparat fotograficzny, by móc poczynić odpowiednie zdjęcia tych właśnie kurhanów, miejscowości, zasługujących na uwagę; jedynie na przeszkodzie stoi znikomy fundusz Koła. Koło prenumeruje „Orli Lot".

Z książek i czasopism.

Bogdan Zaborski: **„O kształtach wsi w Polsce i ich rozmieszczeniu".** (Str. 121 z 27 ilustracjami i mapką Nakład Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie 1926). Do nielicznych i traktujących o poszczególnych tylko częściach Polski opracowań nad kształtami, wielkością i położeniem osiedli wiejskich, przybywa nowe, interesujące dziełko, którego autor stara się rozpatrzyć na podstawie zebranej literatury i własnych badań temat obejmujący całe terytorjum Polski.

Po krótkim wstępie, w którym autor podaje między innemi definicję wsi, przedstawia nam stan badań nad osadnictwem wiejskiem w Europie środkowej i w Polsce, przychodząc do wniosku, że „Odnośnie do Polski opracowania podobne są zbyt fragmentaryczne (i uboczne), aby z nich wytworzyć sobie dokładne pojęcie o całości interesującego nas terenu"... W dalszej części dzieli autor wsie, geometryczno-genetyczną metodą, na wsie: okrągłe, okolnice, owalnice, ulicówki, widlice, łańcuchówki, szeregówki, rzędówki, wsi wielodrożne i samotnicze, przechodząc wreszcie do przysiółków. Z korzyścią weźmie książkę do ręki każdy krajoznawca, a Koła krajoznawcze znajdą nowy kierunek swej pracy nad wszechstronnem poznaniem swego kraju. *JW.*

Rada Naczelna Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk.: **„Referaty wygłoszone na pierwszem plenarnem posiedzeniu Rady Naczelnej W. F. i O. W.** (Praca zbiorowa, wydana nakładem Ministerstwa W. R. i O. P., str. 62). Każdy, kto tylko interesuje się żywotną sprawą wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego naszej młodzieży, powinien zaznajomić się z treścią programowych referatów Naczelnej Rady W. F. i P. W.

Z całej broszury tchnie tężyzna fizyczna i moralna w jakiej Rada Naczelna chciałaby wychować młode pokolenie przyszłych obywateli państwa. Na całość jędrną i zwięzłą składa się szereg doskonale ujętych referatów i tak: 1) Tadeusz Łopuszański: Zadania Rady Naczelnej W. F. i P. W.; 2) Stanisław Burhardt-Bukacki: Przysposobienie wojskowe; 3) Dr. Eugenjusz Piasecki: Zagadnienie boiskowe; 4) Dr. Tadeusz Strumiłło: Współżycie z przyrodą; 5) Prof. Bolesław Hryniewiecki: Ochrona przyrody; 6) Inż. Aleksander Bobkowski: Sport wodny; 7) Dr. Władysław Osmólski: Stosunek sportu do wychowania fizycznego; 8) Ppk. Walerjan Sikorski: Odznaka sportowa, czyli odznaka sprawności fizycznej.

Książka ta powinna się znaleźć w rękach każdego młodzieńca polskiego, a zwłaszcza krajoznawcy i harcerza.

Sprostowanie.

W numerze 10 z r. 1927 opuszczono, że numer ten wypełniły prace: członków Koła Krajoznawczego przy Seminarjum Nauczycielskiem w Siennicy.

Na str. 195 pod fotografją zamiast: „P. Słodownik z Siennicy" powinno być „Strój włościanina z okolic Siennicy".

Na str. 194, wiersz 3 od dołu zamiast: „z wczesnego okresu bronzu" powinno być: „z wczesnego okresu żelaza".

Cena zeszytu pojedynczego (16-24 str.) z przesyłką pocztową 40 gr., zeszytu podwójnego (32-40 str.) 80 gr., bez przesyłki 35 gr. wzgl. 70 gr. Przedpłata roczna 4·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor nacz. i odpow.: Leopold Węgrzynowicz, Kraków I., Krowoderska 74, II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Odbito w Tłoczni Geograficznej „Orbis“, Kraków-Dębniki, Barska 41
pod zarządem Michała Baranowskiego.